№ 52. Warszawa, dnia 13 (25) Grudnia 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

MARYUSZ PIGNEROL.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

II.

Maryusz nie lubił chodzić wiele, a jednak w pogodny ranek lipcowy, obudziwszy się o świcie, postanowił iść za radą doktora.

Wziął kij w rękę, nalał w blaszaną flaszkę trochę rumu i puścił się w kierunku góry Nantes. Z początku szło mu łatwo, ale gdy wypadło drapać się po nagiej i pionowo sterczącej skale, trudniejsza było sprawa. Zawziął się jednak i bez tchu w piersi, oblany potem, dotarł do płaszczyzny zarosłej wrzosem i bujną trawą. Po takiem wysileniu, rzucił się na ziemię pół żywy.

Świeży powiew gór, połączony z wonią pokoszonego siana, orzeźwił go niebawem. W powietrzu rozlegały się dzwonki owiec i nawoływania pasterzy. Na tle błękitu rysowała się stroma skała, nakształt warownej baszty, poniżej zaś w parowie rozrzucone szalety i obórki, tworzyły niby szare plamy na zielonej murawie.

Maryusz pragnął napić się grogu, lecz nie wiedział gdzie szukać wody. Powstał z trudnością, powlókł się do najbliższego szaletu i znalazł nakoniec czego szukał, przed chatą, czysta jak kryształ woda, wytryskała z rury drewnianej i z dźwięcznym szmerem, spadała w szerokie koryto. Poeta miał arak, znalazł wodę, brakło mu tylko szklanki. Idzie więc do szaletu i ledwie że zakołatał, drzwi otwierają się na oścież, we drzwiach ukazuje się młoda, ośmnastoletnia dziewczyna.

Wzrost jej średni, kibić udatna, ciemny włos podpięty rogowym grzebieniem, bujną kosą otacza zgrabną główkę. Odziana w spódniczkę wełnianą i w błękitny kaftanik płócienny, twarzyczkę ma różową, czoło wypukłe, oczy niebieskie, pełne życia.

— Przebacz mi moja panienko — rzekł Maryusz — przychodzę prosić cię o szklankę.

— Natychmiast — odrzecze z uśmiechem, ukazując rząd białych ząbków. — Wnijdź pan tu, odpocznij, pójdę sama po wodę.

To rzekłszy, wzięła dzbanek i wyszła, Maryusz siadł na ławie. Ogarnął pilnie wzrokiem, wnętrze chaty pastuszej. Podłoga tu ulepiona z ziemi, ściany bez okien, światło wchodzi tylko przez drzwi i wielki otwór w dachu, przez który wybiega dym z ogniska, otoczonego wałem okrągłych kamieni. Sprzęt cały składa się z kilku stołków i ław zaledwie ociosanych, z wydrążonego pnia, który służy za prasy do wyciskania sera, z szafy i prostego stołu. Przy drzwiach od alkierza, zawieszony na ścianie obraz Najświętszej Panny, poniżej prosta półeczka wysłana mchem, a na niej w dwóch szklankach, zerwane świeżo kwiatki. Przez otwarte drzwi wbiegły kury i z głośnem gdakaniem poczęły dziobać okruchy na podłodze. Dziewczyna wchodząc z wodą, odpędziła je żywo.

— Daruj pan — rzecze — to już taki ich zwyczaj — nalała w szklankę wody, podała ją Maryuszowi.

— Czy sama mieszkasz w tym szalecie — zagadnie poeta.

— O nie! ale to dziś niedziela, ojciec i matka poszli na sumę do Thonei, bracia i siostry pasą trzodę.

— A wieleż was jest wszystkich.

— Siedmioro, to spora gromadka, nieprawdaż?

Mówiła to z uśmiechem, poprostu, spokojnie, bez zbytecznej śmiałości.

— Czy jesteś najstarsza z rodzeństwa? — zagadnął znów Maryusz.

— Nie panie, mam brata dwudziestoletniego.

— A ty wiele masz lat panienko?

— Na święty Michał, skończę rok ośmnasty. Moja siostra ma lat szesnaście.

— Czy zawsze mieszkacie w tych górach.

— Do końca Października tylko, a potem wracamy na zimę do Thonei.

Tak rozmawiając, krzątała się po izdebce, zbierała śmietanę z mleka, nakładała ser w formy, wszystko to z niesłychaną swobodą.

— A może pan skosztuje mleka naszego?—spyta, ukazując wielką, glinianą dzieżę.

— Dziękuję ci, muszę wracać do Talnar — odrzecze poeta.

Powstał z ławy, przystąpił do ołtarzyka, przed wizerunkiem Matki Bozkiej.

— Czy sama zrywałaś te kwiatki?

— Tak jest.

— A czy wiesz jak je nazywają.

— Zapewne, że wiem, te różowe to cyklameny, a niebieskie, to gencyanna.

— Uczona jesteś jak widzę, a któż cię tego nauczył?

— Zakonne siostry w Thones, byłam u nich na pensyi do dwunastego roku.

— Jakże ci na imię, moja panienko.

— Żozetta, Żozetta Bastian.

— Ładne imię... Dowidzenia panno Żozetto, dziękuję ci — rzekł Maryusz, wsuwając jej w rękę srebrny pieniądz.

Spojrzała mocno zarumieniona.

— O panie, to zawiele! czy się godzi? za jedną szklankę wody.

— Na drugi raz poczęstujesz mnie mlekiem, gdy znów będę przechodził tędy. A teraz daj mi rękę na pożegnanie.

Podała rękę bez wahania, życząc mu szczęśliwej drogi.

Tegoż wieczora Maryusz zaszedł do Balmette, opowiedział doktorowi wycieczkę swoją w góry. Imię Żozetki powracało mu ciągle na usta.

— He, he! — rzekł staruszek z uśmiechem — zająłeś się jak widzę tą dziewczyną, gotów jesteś pokochać się nie żartem. Ale ja ci mówię, na nic się to nie przyda. Córki naszych pasterzy, nie podobne do waszych Paryżanek. Roztropne one i stateczne, nie dadzą się złapać na piękne słówka.

— Ja, miałbym się pokochać? — odpowie Maryusz — miłość, mój doktorze, to zjadliwa trucizna; poznałem ją, ona nie może działać na mnie.

We dwa dni jednak potem, wrócił znów do szaletu. Zastał tam całą zgromadzoną rodzinę. Jadł śniadanie, w towarzystwie ojca, matki, Żozetki i starszego brata Maurycego. Mleko było wyborne, chleb czarny dziwnie mu smakował. Po śniadaniu Maurycy zagrał na fletni piosenkę miejscową, dźwięki jej rozległy się po górach.

Odtąd poeta co parę dni powracał do szaletu, przepędzał tam po kilka godzin. Drobna dziatwa której zanosił przysmaki, oswoiła się z nim zupełnie. Żozetka przyjmowała go zawsze z tym samym, serdecznym uśmiechem, a ojciec Bastion, najspokojniej patrzał na powtarzające się tak często odwiedziny Paryżanina. Uczuł nagle Maryusz, jak w głębi duszy jego budzą się wspomnienia lat dziecinnych; stara krew włościańska, żartko zakrążyła mu w żyłach, wśród tych wonnych pastwisk i lasów, a w miarę jak się przybliżał do matki ziemi, w jego sercu budziła się miłość życia wiejskiego. Zajmowały go najdrobniejsze szczegóły gospodarskie; śledził pilnym wzrokiem ojca Bastyana, zajętego wyrobem serów, a kiedy dziatwa pasła trzody w parowach, rozmawiał z Żozetką, krzątającą się koło domu. Jakżeby szydzili towarzysze paryzcy, gdyby mogli widzieć, pessymistycznego poetę, kiedy pochylony nad studnią, pomagał dziewczynie góralskiej czerpać wodę kubłem sosnowym. Życie to miało dlań jakiś pierwotny, sielski urok, przenoszący myśl jego w czasy biblijne lub do epoki Teokryta. Pod wpływem tej żywicznej atmosfery, Maryusz z pogardą przypominał sobie, sztuczne uciechy i chorobliwe szamotania się wśród cywilizacyi paryzkiej.

Skargi zrozpaczonych poetów, już go nie poruszały, przekładał teraz Homera nad Leopardego.

Nad wszystko jednak milszą mu była rozmowa z Żozetką. W miarę jak ją poznawał bliżej, odkrywał w niej, więcej ogólnych wiadomości niż się zrazu spodziewał. W tej części Sabaudyi, dziatwa chodzi pilnie do szkoły, a na stokach gór, podczas gdy trzody skubią trawę, młodzież chętnie zajmuje się czytaniem. Żozetka miała umysł dość rozwinięty, nie brakło z nią nigdy przedmiotu do mówienia, nie trzeba było podsycać rozmowy, zdawkową monetą zalotnych słówek, któremi mężczyzni zbyt szczodrze szafują względem kobiet.

Raz tylko promyczek miłości, zamigotał w ich rozmowie. Żozetka przy pomocy Maryusza, zgarnęła skoszone siano w wielką płachtę rozpostartą na ziemi, cztery rogi płachty związała razem i ogromny ten pęk, podjęła na ramiona. Ale noga jej pośliznęła się na pochyłej murawie, węzeł pękł, a gdy Maryusz, który naprzód schodził z góry, obrócił głowę, ujrzał dzieweczkę całkiem pokrytą sianem. Różowa jej twarzyczka ślicznie odbijała, z pośród trawy; zielone strzępki czepiały się jej rąk, szyi i włosów, był to żywy obraz leśnej Dryady. Trzeba było związać na nowo płachtę, zmordowani siedli na wzgórzu.

Maryusz nie mógł oderwać oczu od ślicznego dziewczęcia.

— Tyś bardzo ładna, Żozetko, czy wiesz o tem? wyszeptał mimowoli.

— Ani ładna, ani brzydka, jak wiele innych — odrzekła dzieweczka z prostotą.

— O nie, tyś prawdziwie ładna, czyż ci nikt tego nie powiedział?

— Nikt, mogę ręczyć!

— A więc ja ci to mówię — zawołał z uniesieniem.

Żozetka spuściła głowę, podjęła płachtę z sianem na plecy i ścicha poszła do szaletu.

Rozmowa skończyła się na tem. Maryusz pomieszany powrócił do Talnar. Gdy w parę dni potem, zaszedł do Balmette, doktor wymawiał mu, że go nie dość często odwiedza.

— Ale, ale — rzekł — cóż porabia twoje dziewczę z szaletu? nic mi nie mówisz o niej. A przecież ludzie spotykają cię często na górze Nantet.

— Tak jest, byłem tam kilka razy.

— I nie wspominałeś mi o tem? A wiesz ty co to znaczy?

— Nie wiem.

— Oto zakochałeś się w pannie Żozecie.

Maryusz odwrócił rozmowę na inny przedmiot, ale gdy przybył do domu, począł pilnie badać sam siebie i wyznał w końcu, że stary Lettraz bynajmniej się nie mylił. Co? ja zakochany w tej prostej góralce? Pomyślał w duchu, zobaczmy do czego mnie to doprowadzi? Ona zbyt uczciwa bym miał z nią zażartować, zresztą byłby to czyn nikczemny... A więc żenić się? Istne szaleństwo!... Królowie jak mówią, żenili się czasem z pasterkami, ale poeta, żaden tego podobno nie uczynił. Potrzeba raz wyrwać z serca tę niedorzeczną miłość. Nie pójdę już na górę, czas opuścić Tatuar.

Dwa dni ubiegło, poeta wszedł z sobą w układy. Nie poszedł na górę, ale pozostał w miejscu.

Jesień zbliżała się szybko, winograd dojrzewał w winnicach. Turyści opuścili brzegi jeziora, wypłoszeni chłodem Październikowym. Maryusz pozostał sam w murach starego klasztoru.

Niewysłowiony pociąg trzymał go nad tem błękitnem jeziorem, choć wiatr strząsał żółte liście z nadbrzeżnych topoli. Nie pracował lecz marzył bezustanku! Miał zawsze przed oczyma, hożą góralkę z uśmiechem na ustach, pokrytą strzępkami świeżej trawy. Pływając codzień łódką po jeziorze, znalazł miejsce, zkąd widać było jak na dłoni chatę Bastyana, niby szarą plamkę, na tle zielonej łąki. Przebywał tam całe godziny, z lornetką zwróconą w ten ciemny punkcik. Śmiał się sam z siebie, ale codzień powtarzał to samo.

Jednego wieczora posłyszał, że pasterze zaczynają sprowadzać trzody na dolinę. Nazajutrz z rana pospiesza do szaletu. Pragnął po raz ostatni zobaczyć i pożegnać Żozetkę. Szedł spiesznie, krokiem gorączkowym, o ósmej zrana był na górze. W miarę jak się zbliża do miejsca, uderza go jakiś ruch niezwyczajny. Krowy, owce i kozy nie pasą się jak zwykle, ale ryczą i beczą wkoło domu.

Maryusz staje przy studni, widzi jak Żozetka ładuje na grzbiet muła, naczynia i zapasy domowe.

Słyszy go dzieweczka, obraca głowę... lica jej dziwnie pobladły.

— Mój Boże! to pan — zawoła — myślałam, że pan oddawna już w Paryżu...

— Pozostałem dotąd w Totuar.

— Nie byłoż-to przyjść do nas? ale pan przynajmniej nie był chory?

— Wcale nie Żozetko, nie widziałem cię, lecz myślałem o tobie.

— Dziwny sposób myślenia o ludziach — odparła ze śmiechem. — Dzień jeszcze, a nikogo jużby pan tu nie zastał. Wyruszamy natychmiast na dolinę, do Thonnei.

Poeta wszedł do obórki, pożegnał zebraną tam rodzinę.

Wszyscy zabierają się żywo do pochodu. Ojciec, matka, brat starszy idą za bydłem, pędząc gromadkę krów i cieląt przed sobą. Młodsze dzieci pobiegły naprzód z koszami. Żozetka pozostała chwilę by pozamykać drzwi i okna.

Maryusz odprowadził ją do miejsca, gdzie droga zawraca ku Thonnei. Szli oboje poważnie i milczący.

— A teraz żegnam pana — rzecze Żozetka — czas mi pospieszyć za rodzicami.

— Nie żegnam cię, raczej do zobaczenia — odpowie Maryusz.

— A więc pan nie wraca do Paryża?

— Namyśliłem się, zostanę przez zimę w Talnar — odpowie, patrząc jej w oczy z głębokiem uczuciem.

Zadumana twarz dzieweczki rozjaśniła się nagle.

— Niechże pan odwiedzi nas w Thonnei — zawoła — nie mieszkamy w miasteczku, ale w małej wiosce Malnant, tuż nad rzeczułką. Domek nasz ocieniony wielką lipą, poznasz go pan po zielonym ganeczku. Pokażemy panu nasze miasto, miejsce to bardzo ładne.

— Przybędę niezawodnie — odrzecze Maryusz.

Trzody tymczasem zstępowały ze stromej pochyłości, becząc i rycząc głośno.

— Czas mi iść, więc dowidzenia z panem.

— Dowidzenia, Żozetko, podaj mi rączkę, proszę.

I pochwycił obie jej ręce. Ona cofnęła się zarumieniona.

— Czas mi iść — powtórzyła stanowczo.

Ale Maryusz nie puścił rąk dzieweczki.

— Kocham cię Żozetko — wyszepcze drżącym głosem — kocham cię całą duszą...

Nie odrzekła nic. Wyrwała ręce z rąk młodziana i pobiegła co tchu ku trzodzie. Mgła tymczasem podniosła się w górę i przysłoniła wszystko białym rąbkiem. Odgłos dzwonków dobiega tylko do ucha Maryusza coraz słabiej a słabiej, aż umilkł w wilgotnem powietrzu.

(*Dokończenie nastąpi.*)

CZEMU?

Czemu ludzkie serce,
Stygnie, kamienieje,
Czemu z róż kobierce,
Szarpią wciąż zawieje?

Wszak świat ten nasz mały,
Śmieje się jak dziecię,
Czemuś go łzy zlały,
Tak gęsto, obficie?...

Ursyn.

OBOJE.

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dokończenie.)

Janina obejrzała się z uśmiechem złośliwym.

— Widocznie wyśmiewa mnie — pomyślała sobie — a nawet szydzi ze mnie.

Podrzuciła głowę do góry.

— Sądzę — rzekła do panny Heleny — że zajęcia domowe, które zazwyczaj „gorszą częścią” niesłusznie nazywają, mają także pewien urok niepośledni. Czy wiesz pani, że ja od kilku dni czytam książkę o burakach, a czytam z coraz większem zajęciem!

August spojrzał na nią z ukosa i przygryzł wargi.

— Dopieka mi — pomyślał — a nawet szydzi z mego zawodu.

Zwróciwszy się do sąsiada, mówił dalej:

— Zawód mój, do którego się kształciłem, przywiązał mię do ziemi. Był czas — a trwało to dosyć długo — w którym myślałem, że oprócz tego, co jest w ziemi i na ziemi, nic innego nie trzeba człowiekowi do życia; że potrzebuje tylko usta swoje otworzyć, by po nad poziomem ziemskim szukać ożywiającego oddechu!...

Zwiędły młodzieniec skrzywił się i machnął ręką.

— Żałuję tych, którzy w tak brudnem legowisku tyle czasu stracili. Gdy jestem w galeryi obrazów, gdy stoję przed Rubensem lub Rafaelem... gdy jestem na koncercie i słyszę fugę Bacha... lub gdy wreszcie położę się na miękkim ottomanie z książką w ręku — to zdaje mi się, że człowiek nie potrzebuje do życia ani jeść, ani pić. Zapadam w jakiś stan kataleptyczny, i gdyby nie moja zacna siostrunia, która wyśmienite befsztyki smaży, mógłbym z głodu umrzéć!

— Nie idąc tak daleko, mniemam, że już kilka chwil przerwy w zmudnej pracy, jest dla nas niemałem dobrodziejstwem. Wejść na kilka chwil do innego świata, sprawia wielką przyjemność, a sam nasz pociąg do niego, jest dowodem, że wszystkiego nie znajdziemy na ziemi.

Meloman machnął znowu ręką.

— Co znajdziemy! nic na ziemi nie znajdziemy! Co znalazł Bethoven, Mozart, Wagner i inni? Jeden Dawid chciał coś znaleźć na ziemi, i cóż znalazł? Głupią puszczę! W sferach duchów, w ekstazie natchnienia trzeba szukać tego, do czego człowiek ma prawo!

— A czy nie ma tam, jak w procesach przedawnienia? Jeżeli ktoś długo nie upominał się o to... jeżeli nie wiedział, że ma prawo do spadku, jaki pozostaje po wielkich poetach i artystach?...

Janina obejrzała się niecierpliwie.

— Coraz więcej szydzi ze mnie — pomyślała — dłużej nie wytrzymam!

Dwie łezki zamigotały w jej oczach i cofnęły się.

— Przyznam się — mówiła dalej do Heleny — że byłam bardzo ekscentryczną przez długi czas, a to męczyło mię niemało. Przyznaję, że pewne zajęcia domowe, odnoszące się do gospodarstwa mogą być pewnym wypoczynkiem naszej duszy i rozdrażnionej wyobraźni.

— Jabym się rozchorowała — odpowiedziała panna Helena — gdyby mi ktoś kazał cały dzień grać lub czytać. Gdy zaś cały dzień biegam z kuchni do spiżarni, z ogrodu do stajni — jestem zdrowa jak ryba i śpię jak borsuk!

— Możnaby zatrudnienia i upodobania swoje przeplatać jak placek Wielkanocny serem i konfiturami, zajęciem domowem i książkami!

August spojrzał gniewnie na Janinę.

— Jak widzę — pomyślał sobie — dokucza do żywego. Szkoda czasu i atłasu.

W tej chwili trącił pan Marcin ciocię łokciem i rzekł:

— Czy widzisz asindźka, jak ci dwoje znają się na dyplomacyi. Janina wzięła w arędę pannę Helenę, aby się August do niej nie przypytał, a August trzyma w szponach braciszka, aby się do Janiny nie zbliżył?

— Tak czynią oni — odpowiedziała z badawczym uśmiechem ciocia — a cóż my?

Pan Marcin posunął szeroką dłonią po wąsach, jakby coś słodkiego połknął.

— My — rzekł ruszając wąsami — pomówimy ze sobą bez dyplomacyi!

Rozkosznie spojrzała ciocia na niego.

— W pewnych razach — mówiła głosem coraz słabszym — w pewnych chwilach nie zawadzi także trochę dyplomacyi...

— Przedewszystkiem rozmowy na osobności...

— Rozumie się, aby świat złośliwy...

— Gdzie serce gorąco bije, tam świat złośliwy...

— Pst!

Ciocia Klemusia przyłożyła paluszek do ust. Wyglądała w tej chwili wcale młodo. Twarz ożywiła się, oczy błyszczały jaśniej. Nawet ruchy stały się żywsze.

— Gdzie się rozmówimy — szepnął pan Marcin — jak mógł najciszej. Możeby w moim pokoju...

— Nie wypada — odszepnęła ciocia — a koronki na piersi podniosły się wysoko.

— To chodźmy do pokoju Janiny...

— Możemy i tutaj mówić pocichu...

— Ależ ja szeptać nie potrafię, jak w romansach się dzieje... do tego nie dosłyszę na jedno ucho...

— Więc chodźmy do pokoju Janiny... tylko nie razem. Dyplomacyi zawsze potrzeba, a nawet przy zwierzaniach się... Pan wyjdziesz niby do siebie, a ztamtąd przez garderobę do pokoju Janiny. Tam będziesz czekał na mnie... tylko nie zaśnij.

Otoczyła go jasnem, błyszczącem okiem, a uśmiech rozkoszy dopowiedział resztę. Pan Marcin nie został dłużny, łypnął lewem okiem siarczyście, a prawe zmrużył, jakby już był na schadzce.

Po wyjściu pana Marcina siedziała ciocia prawie nieruchoma. Serce jej biło żywo, tak żywo jak ongi gdy była młodą, gdy wiosna życia odurzała je swoją wonią narkotyczną. Przypomniała sobie jak przed dwudziestu laty była w podobnem położeniu. Kuzynek hrabiny sławny owego czasu bałamut wymógł na niej, że zezwoliła na tajemną schadzkę w altanie ogrodowej, na której jak mniemała, miał się jej oświadczyć. Przypomniała sobie jak z dziwnem, rozkosznem uczuciem zarzucała ciepły szal na białe ramiona, z jaką niewypowiedzianą rozkoszą stąpała ostrożnie po zeschłych liściach alei ogrodowej, jak drżała z bojaźni gdy niedyskretny księżyc oświetlił jej postać... ah była to chwila słodka, bardzo słodka!

Dzisiaj powtarza się coś podobnego w innych warunkach. Wtedy było rozkosznie słuchać milego bałamuta choć się wiedziało, że zdradzi i do innej pójdzie... dzisiaj, po tylu zawodach i rozczarowaniach trzeba więcej słuchać rozumu niż serca...

Mimo to nie chce serce milczéć, przyspiesza swoje tętna i bije prawie tak samo, jak wtedy gdy miły bałamut szedł drugą aleją do rozkosznej altany...

Wreszcie podniosła się ciocia Klemusia, a przytrzymując koronki na podniesionej piersi, weszła zwolna do pokoju Janiny.

Czekał tam na nią pan Marcin. Nie drzymał w fotelu, ale przeciwnie chodził po pokoju szerokiemi krokami, jak człowiek, który coś ważnego postanawia. W jego ruchach malowała się niecierpliwość, twarz jaśniała ożywieniem. Krótkie włosy podgartywał do góry jak bohater na scenie.

Ciocia Klemusia stanęła przed nim i otoczyła go okiem miłościwem. Rękę trzymała na koronkach, pod któremi słychać było tętno serca.

— Może asindźka usiędzie — rzekł bohater — będzie nam wygodniej mówić.

Ciocia Klemusia usiadła na fotelu. Pan Marcin siadł na drugim i przysunął się tak blisko do niej, że dotykał się koronek jej sukni.

— Już mi dawno lata coś po głowie, zaczął biorąc ją za rękę, ale człowiek w moim wieku musi się dobrze namyślać nim się drugim zwierzy.

Ciocia przyjęła ten ustęp łaskawym uśmiechem.

— Tem więcej ceni się słowa takich ludzi — odrzekła — patrząc mu prosto w oczy.

— Już w piśmie stoi, że „niedobrzeć samemu człowiekowi”.

— Samotność to śmierć powolna!

— Gdzie jest dwoje, tam już samotności nie trzeba, byle tylko nie chodzili osobno, jedno do Sasa, a drugie do lasa!

— Przecież to nie od kobiety zależy powiedzieć: Chodź ze mną!

— Tak — ale jeśli kobieta ani razu nie zerknie z pewnem upodobaniem na niego, tylko jak jędza zęby mu pokazuje...

Ciocia musnęła ręką po ramieniu pana Marcina.

— Tak się nie mówi o kobiecie, którą się... szanuje!

— Ależ ta kobieta jest kochana!

— Gdybym temu nieuwierzyła?

— Byłoby to, grzechem, bo ja wiem, co mówię!

— Mężczyźni często nie przywiązują wagi do tego, co mówią!

— Przecież nie jestem młokosem, a to, co chcę powiedzieć, rozważyłem dobrze.

— Gdy się starszy dom zapali, tem trudniejszy jest ratunek!

— Zostawmy starsze domy w pokoju, przystąpmy do rzeczy.

— Słucham.

— Nie zawsze można afekt swego serca okazać, tem mniej wtedy, jeżeli kobieta okazuje skłonność do fumy, i pewnych urojeń, którym mężczyzna nie sprosta.

— Doświadczenia robią nas skromniejszemi, z wyżyn idealnych zstępujemy na ziemię.

— Nie ma tu czasu czekać na doświadczenia...

— Ah, prawda!

Ciocia westchnęła.

— Sądzę, że sprawę tę trzeba raz skończyć, i to dziś jeszcze. Gdy konia postronek ciśnie, to go urwie i od wozu ucieknie. A cóż dopiero mówić o sercu, któremu coś ustawicznie zawadza? Zbuntuje się i odwróci w inną stronę.

— Takiego serca wysoko nie cenię!

— Zważ asindźka, że to nie nasze stare, wysuszone serca, dla których najwyższą rozkoszą jest drzemka poobiednia! To serca młode, w których krew wre i kipi...

— Czyje serca?

— No, Augusta i Janiny.

— A a!... tak!

Ciocia Klemusia przesunęła ręką po czole, a potem spuściła ją na oczy. Tak siedziała czas niejaki nieruchoma. Koronki na piersi podnosiły się coraz słabiej, wreszcie na chwilę ustały.

— Cóż asindźka na to? — zawołał pan Marcin, potrząsając jej ręką. — I tak już długo tutaj siedzimy!

Ciocia odkryła oczy, spojrzała na pana Marcina i zaśmiała się.

— Czego się asindźka śmiejesz — krzyknął niecierpliwie pan Marcin.

— Waszmość tak mówisz — odpowiedziała ciocia, śmiejąc się — że mógłbyś kogoś w błąd wprowadzić!

— Przecież mówię wyraźnie, że August kocha Janinę, a Janina niby odgryza się, a widocznie jest nim zajęta.

Ciocia spoważniała.

— Jeżeli o to chodzi, to rozmówmy się na seryo. Najprzód nie widzę między nimi żadnej miłości. Różnią się we wszystkiem jak ogień i woda. Kłócą się, nienawidzą się nawet!

— Przecież August przyznał się dzisiaj przedemną i prosił mię abym wysondował...

— Czyż to być może?... Ale nie, nie... z tego nic nie będzie!

—Dlaczego nic nie będzie?

— Są ważne powody. Najprzód nie lubią się wcale, powtóre położenie Janiny na to nie pozwala. Pochodzi ona ze znacznego rodu, a niema odpowiedniego posagu. Ma pretensye, na które trzeba wiele pieniędzy. Jest młoda, może się podobać i wyjść za człowieka bogatego. Do tego... Ludwikowi nie byłoby bardzo na rękę, aby stracić z domu Janinę z procentem od jej skromnego posagu...

Pan Marcin łypnął gniewnie okiem.

— August jest dość bogatym — odrzekł, kręcąc wąsa.

— Jest oficyalistą nieźle płatnym...

— Do kroć sto tysięcy... nie ciągnij mnie asindźka za język!

— Oficyalista taki może jutro być bez chleba.

— Ależ on dziś, jutro zostanie dyrektorem fabryki...

— Co innego gdyby miał pozycyą niezawisłą...

— Ależ on ma, ma! — wrzasnął pan Marcin i pięścią uderzył w kolano.

— Ma... co ma? Służbę!

— Dalibóg nie wytrzymam—krzyczał pan Marcin — te baby wydrą człowiekowi język z gardła!

I powstawszy na równe nogi, zaczął jak opętany biegać po pokoju, robiąc rękami jakieś giesta zagadkowe. Ciocia patrzała dosyć obojętnie. Niespodziewana zmiana dekoracyi rozwiała jej krótkie marzenia. Wydawały się one nawet śmieszne teraz, a to dodało jej więcej goryczy. Z gorzką ironią słuchała pana Marcina, gdy o szczęściu młodej pary rozmawiał. Gdyby była sędzią, podpisałaby wyrok śmierci na obwinionego choćby nie było dowodów. Pan Marcin biegał ciągle po pokoju.

— Z takiem stanowiskiem — cedziła ciocia — nie powinien August sięgać po taką pannę jak Janina. Żeśmy go tu grzecznie przyjęli, nie wypływa jeszcze z tego...

Nie mógł dłużej wytrzymać pan Marcin. Stanął przed ciocią, zacisnął ręce, jakby gwałt sobie zadawał i zawołał:

— August nie potrzebuje waszej grzeczności, jest większym panem od was!

— Państwo jego do czasu!

— I niech tu kto wytrzyma! Dałem słowo honoru.. ale jak baba zacznie kusić i dogadywać...

I uderzył ręką w usta, jakby przybijał na nich pieczęć wiecznego milczenia.

— Jakie słowo honoru? — pytała z szyderskim uśmiechem ciocia.

— Słowo honoru dane Augustowi, że przed wami nie powiem nic o nim...

— Może ta cała historya z cukrownią jest bajką zmyśloną, aby ułowić pannę z jakim takim posażkiem.

Posiniał na twarzy pan Marcin.

— August nie potrzebuje łowić posagu — krzyknął w największym gniewie — bo on sam ma... ma... więcej nie powiem, bo mi mówić zabronił!

— Ma zapewne wieś na księżycu!

— Nie na księżycu — wrzasnął pan Marcin — ale w czarnej podolskiej ziemi nad Dniestrem!

Rzekłszy to, zbladł jak człowiek, którego furya opuściła i bezwładnie padł na fotel.

— Niech ze mną zrobi co chce — rzekł niby do własnej myśli — dłużej wytrzymać nie mogłem!... A byłem tak niewdzięczny, obdarował mię hojnym groszem, oporządził, przyrzekł wziąć do siebie!

I grube łzy puściły mu się z oczu.

Ciocia patrzała z coraz większą ciekawością. Ostatnie słowa pana Marcina i te łzy odsłaniały coś nie zwykłego.

— August ma wieś? — zapytała łagodnie.

— Ma wieś i to podolską — mówił wśród łkania pan Marcin — ma wieś, ma... teraz już wszystko wygadam, bo jestem tak słaby jak dziecko!

— Jakimże sposobem przyszedł do tej wsi?

— Św. pamięci hrabia zawdzięczał jego ojcu swoje życie i umierając polecił żonie dać Augustowi piękny folwark na własność, a cukrownię w zarząd!

Ciocia spoważniała.

— To zmienia postać rzeczy — rzekła po chwili namysłu — ale dla czego August trzyma to w tajemnicy?

— Zapewne, aby panny na niego nie polowały!

Długa pauza nastała. Po kilku wyjaśnieniach co do folwarku i cukrowni, po przyrzeczeniu ze strony cioci, że o folworku nic mówić nie będzie, nastąpiło znowu dłuższe milczenie.

— Powiedziałem, żem słaby jak dziecko — mówił pan Marcin, ocierając łzy — to powiem jeszcze coś. August napomknął mi, że pieniądze Ludwików mógłby wziąć na udział w cukrowni, która daje dwadzieścia pięć procent!

— Dwadzieścia pięć! Pięć razy tyle, ile dziś mają!

Dłużej nie mogła wytrzymać ciocia. Właśnie w tej chwili ozwał się fortepian w salonie.

Ciocia przyrzekła jeszcze raz dochować sekretu i wyszła do salonu.

XVII.

W salonie podczas tej sekretnej rozmowy szły rzeczy dawnym trybem. Janina rozmawiała o gospodarstwie domowem z panną Heleną coraz żywiej, im więcej August zapuszczał się w artystyczno-poetyczne dyssertacye z panem Zdzisławem. Była przekonaną, że August robi to jej na przekorę, to samo myślał August o niej.

Przerwała to dziwne nieporozumienie pani Aurelia, prosząc pana Zdzisława, aby co zagrał.

— Bardzo proszę — dodała Janina z uśmiechem nieokreślonem — bo my z panną Heleną już tyle placków napiekli i tyle kurcząt i kaczek wychowali, że do ostatnich mianowicie brakłoby już buraków!

— Mnie zaś — dodał August — miło będzie pozostać w tej sferze, w której kilka chwil dzięki panu Zdzisławowi tak przyjemnie przepędziłem.

I posunął się w tył z krzesłem, aby panu Zdzisławowi zrobić więcej miejsca przy fortepianie. Zbliżył się tym sposobem do Janiny. Panna Helena pospieszyła do fortepianu, aby bratu nuty przewracać.

Ozwały się silne akordy, fortepian zaczął jęczyć i stękać.

W tej chwili weszła do salonu ciocia z błyszczącemi oczyma. Mrugnęła na pana Ludwika i Aurelią i zajęła z nimi stanowisko we framudze okna.

Janina i August siedzieli zrazu w milczeniu przy sobie. August spojrzał kilka razy ku drzwiom, któremi zwykł pan Marcin wychodzić, ale pana Marcina nie było. Pokutował biedak za grzech popełniony, a nie miał odwagi stanąć przed człowiekiem, przeciw któremu zawinił. Prawdopodobnie płakał sobie teraz, a nawiasem przeklinał wszystkie „baby”, które człowieka za język ciągną.

August nie miał w tej chwili sprzymierzeńca, a co najgorzej, nie wiedział, jak sprawa jego stoi. Był skazany na własne siły swoje.

Janina siedziała zapatrzona gdzieś w powietrze.

Po jej bladej twarzy wił się cień jakiejś boleści, oczy przysłaniały się długą rzęsą. Rozskubywała machinalnie koniec koronki, rzucając strzępki na posadzkę.

— Pani niszczysz tak piękną koronkę — zagadnął ścicha August, niepodnosząc oczu.

— Jestto jej przeznaczenie... że jest tak wątłą i słabą — odpowiedziała Janina, niezmieniając postawy.

Nastąpiła pauza.

— Marzenia nasze — mówił dalej August — porównywują czasem do słabych i wątłych tkanek... czy los tychże miałby być także podobny?...

— Pan mówisz obcym językiem... czyż miałbyś się sobie sprzyniewierzyć?

— W tej chwili jest on moim własnym... pochodzi z mego serca...

Janina podniosła oczy i spojrzała na niego. On w tej chwili patrzał na nią.

Nastąpiło milczenie.

— To ja mógłbym podobny wyrzut zrobić pani... słysząc jej rozmowę z panną Heleną. Wyszłaś pani zupełnie ze swojej dawnej roli...

— Wierz mi pan, nie odgrywałam żadnej roli... mówiłam z prawdziwem zamiłowaniem...

— W takim razie spotkaliśmy się w połowie drogi... do siebie?...

I spojrzał głęboko w oczy Janiny.

Oczy Janiny zabłysły łzami.

August sięgał po jej rączkę.

W tej chwili wszedł Wincenty do salonu.

— Herbata gotowa — zawołał.

Fortepian umilkł, wszyscy powstali.

— Czy przyjmie pani moją rękę? — rzekł August do Janiny, podając jej ramię.

Janina przyjęła propozycyą. August czuł, że zadrżała przy nim jak liść osiki.

— Czy może to trwać... przez całe życie? — szepnął na progu.

Janina odpowiedziała tylko spojrzeniem, ale Augustowi zdawało się, że uczuł także lekki uścisk ręki.

. . . .

— A gdzież kapitan? — zawołała z radośnym uśmiechem ciocia.

Kapitan wszedł właśnie do salonu. Był jak rak czerwony.

— Wszystko dobrze idzie — rzekła do niego biorąc go pod rękę — zdaje się, że już się oświadczył i to ze skutkiem.

— Chwałaż Bogu — krzyknął pan Marcin.

— Ale powiedz mi mój kuzynie, co też tak liczysz zawsze w tej skrzynce?

— Guziki od mundurów moich przodków! To skarb dla mnie nielada! Testamentem przekażę go Augustowi.

Ciocia uderzyła go wachlarzem po ramieniu.

— Ty... ty stary bałamucie! — rzekła ze śmiechem, i pociągając go z sobą do herbaty.

K O N I E C.

O ludności żydowskiej.

Jeden z więcej znanych statystyków niemieckich p. Nassig, ogłosił pod tym tytułem bardzo ciekawą rozprawę i nienadając jej żadnego wybitnego harakteru tak pod względem politycznym jak religijnym, rzecz całą oparł na cyfrach bardzo wymownych, czerpanych z urzędowych źródeł.

W całej monarchii Austro Węgierskiej, powiada autor, znajduje się 1,610,000 Żydów płci obojej, a z tej liczby na samą Przedlitawię 1,005,394, z których znów o wiele więcej niż połowa, bo 687,592 przebywa w Galicyi, gdzie tym sposobem tworzy $^1/_9$ część całej ludności.

We Lwowie jest ich 30,961 (28.21 proc), w Krakowie 20,969 (30.67 pr.), w Brodach 15.316 (52.16 proc.), w Kołomyi 12,002 (51.94 proc.), w Tarnowie 11,394 (86.08 proc.) i w Stanisławowie 10,026 (53.81 proc.), a w innych miastach i miasteczkach stosunkowo jeszcze więcej. Jeźli tedy w całej Galicyi każdy dziewiąty człowiek jest żydem, to we Lwowie i Krakowie, biorąc okrągło, jest nim każdy trzeci, w Tarnopolu, Kołomyi, Tarnowie i Stanisławowie każdy drugi a w Brodach na trzech żydów przypada jeden chrześcianin.

Ludność żydowska zwiększa się w Galicyi nieporównanie prędzej od chrześciańskiej, bo gdy na każdy tysiąc żydów co rok przybywa 33, na każdy tysiąc chrześcian tylko czterech.

Ten sam objaw, lubo nie tak jaskrawo, powtarza się w innych prowincyach austryackich, mianowicie co rok przybywa tam na tysiąc żydów 21, a na tysiąc chrześcian 6.

Na oko jest to fakt dziwny, bo przecież żydzi żyją tak niehygienicznie, a przytem masa ich cierpi niedostatek, bez porównania większy od włościańskiego ubóstwa; śmiertelność zaś zawsze stoi w prostym stosunku do ubóstwa i niehygienicznego życia. Ale fakt ten wypływa z dwóch przyczyn, zupełnie wystarczających do zrozumienia tego objawu, a owe przyczyny znów jednoczą się razem w zasadniczej przyczynie, która widocznie silniejsza jest od wszystkich czynników, tamujących cokolwiekbądź przyrost żydowskiej ludności.

Oto, żydów nietylko więcej się rodzi jak chrześcian, ale żyją oni znacznie dłużej, a ta różnica, średnio biorąc, wynosi 4 lata i 8 miesięcy.

Z drugiej strony na każdy 1,000 dziewcząt rodzi się u żydów 1,285 chłopców, a na każde 1,000 dziewcząt chrześciańskich, rodzi się 1,058 chłopców. Wskutek tego żydówki rzadziej aniżeli chrześcianki zostają pannami.

Otóż te dwa fakta, że u żydów rodzi się więcej dzieci jak u chrześcian i że między ich nowonarodzonemi stosunek chłopców do dziewcząt tak bardzo się różni od tego samego stosunku w rodzinach chrześciańskich, tłomaczy się tylko tem, że młodzież żydowska wcześnie zawiera związki małżeńkie.

Stosunki ekonomiczne żydów austryackich wogóle lepsze są niż się może zdawać, patrząc na owe ogromne ich masy zgłodniałe i łachmanami okryte.

Z podatków opłacanych przez żydów autor oblicza, że trzecia ich część rozporządza takim kapitałem który podzielony porówno, dawałby każdemu 2,000 zlr. dochodu.

Gdyby wszystkich chrześcian podzielić pod względem majątkowym na trzy kategorye, to najbogatsza nie rozporządzałaby tak wielkim kapitałem.

To znaczy, że między chrześcianinami istnieje lepszy podział, skala między najbogatszymi a najuboższymi jest krótsza, kapitały nie w takim stopniu jak u żydów są skoncentrowane. To jest właśnie jedna z ważnych przyczyn dlaczego żydzi górują na wszystkich polach ekonomicznej pracy. Bo nie ten wygrywa kampanię, kto może więcej wojska wystawić, lecz ten, kto go istotnie na każdym potrzebnym punkcie więcej wystawi.

Co się tyczy Europy, autor rozprawy oblicza, że w całej Europie było 6,901,982 żydów dnia 1-go Stycznia 1884 r.

Najwięcej ich w ziemiach polskich pod panowaniem Rossyi, bo okrągłe 4 miliony, z których wszakże trzeba garstkę odliczyć takich, którzy są „przynależni" do gubernii polskich, jednakże stale mieszkają w głębi Rossyi i noszą przeważnie rossyjskie nazwiska, oraz blizko dwa tysiące żydów kaukazkich i turkestańskich.

W samem Królestwie Polskiem było ich w roku 1883 jeden milion 77 tysięcy i wtedy stanowili przeszło siódmą część ludności, a zatem, nawet stosunkowo więcej ich tam niż w Galicyi. To samo na Litwie, gdzie stanowią 14 proc. całej ludności, na Wołyniu, gdzie procentowy ich stosunek do ogółu ludności wyraża się cyfrą 15 i na Ukrainie, gdzie na 17 chrześcian jest dwóch żydów. I tam również wzrost ich ludności, jest prawdziwie szalony.

Jeżeli ów wzrost w Galicyi po części się tłomaczy ciągłym napływem żydów z Rossyi, to tam przyczyna ta wcale nie istnieje, bo chyba może tylko jakich dziesięć (?) rodzin żydowskich co rok przenosi się z Europy do Rossyi. Tam więc przyrost, odbywa się wyłącznie w sposób naturalny, a jak jest wielki, pokazują zebrane przez autora rozprawy daty w Królestwie Polskiem.

W niem na każdy tysiąc mieszkańców było w r. 1816 tylko 78 żydów, w roku 1831 już 99, w roku 1850 — 112, w roku 1872 — 132, a w roku 1883 — 147.

Biorąc zatem w przybliżeniu, co rok z każdego tysiąca mieszkańcow Polski, znika jeden chrześcianin, a jego miejsce zajmuje żyd.

Jeźli ten stosunek i w przyszłości trwać będzie, to łatwo obliczyć kiedy ta zamiana całkowicie się skończy,

Widoki zatem wcale nie pożądane a niebezpieczeństwo niewymarzone. Nic więc dziwnego, że kwestya żydoska jest na porządku dziennym, że mamy organ jej wyłącznie służący, „Rolę", któraby mogła niewymowne przynosić pożytki, gdyby mniej namiętnie była prowadzona.

ROZMAITOŚCI.

Mózg Gambety.

W zeszycie „Przeglądu Powszechnego" czytamy:

„Donoszą z Paryża o nowem rozczarowaniu wśród darwinistów francuzkich: mózg Gambety waży tylko 1,160 gramów! Trzeba wiedzieć, że wśród wielu różnic anatomicznych, jakie zachodzą między człowiekiem a małpą, nieoślednią gra ro-

lę objętość czaszki a zarazem waga mózgu. Największa małpa posiada zaledwie objętość mózgu, wyrównywającą mózgowi dziecięcia.

Darwiniści oczywiście tłomaczą sobie tę różnicę, jak wszystko przez rozwój. Jakiś protoplasta człowieka otrzymał przypadkiem mózg większy, w potomkach jego tenże mózg rósł, rósł i wreszcie dorósł do stanu obecnego. Na dowód przytaczają, że średnia waga mózgu Murzynów wynosi 1,225 gramów, Europejczyków zaś z górą 1,300 a między tymi ostatnimi, im jaki naród jest inteligentniejszy, im jaki człowiek posiada więcej talentów, tem mózg jego więcej waży. I tak mózg Coviera ważył 1,830 gramów, Schillera 1,785, Agassiza 1,512 i t. d., spodziewano się zatem, iż mózg takiego „genialnego" Gambety wiele zaważy. Lecz ten wielki mąż zawiódł ich oczekiwania, mózg jego waży tylko tyle, ile mózgi Buszmanów lub Australczyków.

Cóż ztąd za wynik? Jedno z dwojga: albo teorya jest błędną, albo Gambeta nie był wielkim człowiekiem. Chcąc nie chcąc musiano zgodzić się na drugie i osądzić, że wielkiemu Gambecie po prostu brakowało piątej klepki.

Aby tego wyroku nie poczytano za nasz wymysł, przytaczamy dosłownie „Revue scientifique" z dnia 10 Lipca r. b., str. 60: „Pan Manouvrier przekonał się, że mózg Gambety nie stanowi wyjątku z ogólnego prawa, ciężar bowiem mózgu jest nietylko w stosunku z inteligencyą, lecz zarazem i z innemi czynnikami psychicznemi... Otóż chociaż nie umiemy powiedzieć, jakich własności intelektualnych Gambecie brakowało, śmiało twierdzić możemy, że „coś mu niedostawało". Ztąd dziwić się nie można, że mózg jego tak był lekki, skoro mu brakowało niektórych.. „qualités cérébrales". Jakżeż ten niedostatek cerebralny inaczej po polsku przetłomaczyć, jak nie przytoczonem wyżej przysłowiem o braku piątej klepki?

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Za dni kilka rok bieżący zniknie w przepaści czasu. W kronice ziemskiego bytu rylec historyków opisze sprawy jego żywota, w zwyczajnem zaś życiu tłumów stanowiących ludzkość, pozostanie tylko wspomnieniem... niekoniecznie przyjemnem.

Złowróżbna przepowiednia do niego przywiązana, w znacznej części sprawdziła się, nie w takiej wprawdzie grozie jak przypuszczano, zawsze jednak dobrze się dała we znaki.

Czy rok przyszły będzie lepszy? Czy nad nieprawością grożącą światu, uchwyceniem go w karby swej woli, zabłyśnie choć jutrzenka sprawiedliwości, tak dotąd lekceważonej i poniewieranej?

Słowo Boże, którego rocznicę przyjścia na świat w dniu dzisiejszym obchodzimy, daje nam pocieszającą obietnicę, że się to spełni. Chwilę w której to nastąpi, wewnętrzną pracą ducha naszego możemy przyspieszyć lub opóźnić, a gdy sprawiedliwość tak przez miliony pożądana, w naszem naprzód zapanuje sercu, i dla ludzkości stanie się słońcem wszystko ożywiającem.

Płyńmy więc dalej w łodzi naszego żywota, pod godłem *Dzieciątka* dziś nam na świat przybyłego.

Wielkie sprawy ludzkości zostawmy możnym tego świata, a my pilnujmy ducha naszego, aby w harmonijnym rozwoju z cielesną swą sukienką, szedł dalej po szczeblach posłannictwa, które z pewnością do wielkich celów prowadzi.

Londyn i cała oniemal Anglia, nawiedzone zostały 8 b. m. straszną burzą, która na lądzie i na wodzie sprawiła wielkie spustoszenie!

Z domów zostały pozrywane dachy i kominy, lada chwila padały na ulicę przewrócone drzewa i słupy telegraficzne.

W niektórych ulicach Londynu woda stała do wysokości 5 cali.

Mnóstwo nadbrzeżnych miast stało zupełnie pod wodą.

Zewsząd donoszą o strasznych spustoszeniach spowodowanych orkanem, który szalał przeszło 36 godzin bez przerwy w połączeniu z gradem, deszczem i piorunami.

Szpalty dzienników angielskich przepełnione smutnemi sprawozdaniami.

Według doniesień z Algieru, zatonął pod Sidi-bel-Abbes, francuzki parowiec transportowy „Chandernagor" z tysiącem dwustu żołnierzami na pokładzie. Z całej nieszczęśliwej osady nikt zgoła nie ocalał.

U wybrzeży angielskich padło ofiarą burzy kilka statków handlowych, przyczem również znaczna liczba ludzi znalazła grób w morzu.

Nasi na obczyznie.

W Chicago w północnej Ameryce, gdzie już wychodziła „Gazeta Polska," powstało nowe pismo peryodyczne pod nazwą „Dziennik Polski" a redakcyą Dyniewicza.

W Burto Aristo we Włoszech, Emil Kessler założył fabrykę machin rolniczych. Częścią techniczną kieruje inżenier Borejko.

W Aleksandryi, w Egipcie, otworzyli dom handlowy H. Ostrowski i B. Przyjałgowski i korzystając z ułatwień zamorskiej komunikacyi, z wiosną ożywić się mającej, starają się zawiązać stosunki z tutejszymi przemysłowcami.

W fabrykach Manchestru, według wykazu statystyki przemysłowej, pracuje przeszło 300 robotników polskich. Prawie bez wyjątku, są to wydaleni z Prus, skutkiem znanego edyktu banicyjnego. Dla obsługi religijnej tej gromadki przy katolickim kościele tamtejszym znajduje się ksiądz, mówiący po polsku.

Ministeryum włoskie ogłosiło statystykę wypadków cholery od r. 1884 do chwili obecnej. Pomiędzy lekarzami niosącymi ratunek z poświęceniem, wymieniony jest d-r Lubeski z Genui z nader zaszczytną dla działalności jego wzmianką.

Sekretarz towarzystwa dobroczynności w Londynie, Edmund Naganowski, w sprawozdaniu półrocznem przytacza, że z powodu powrotu z Ameryki około 500 rodzin wychodźców, zawiedzionych w swych nadziejach, liczba potrzebujących wsparcia niepomiernie wzrosła i na przeżywienie ich do wiosny potrzeba co najmniej 1,500 funt. szterl.

Towarzystwo londyńskie odebrało od burmistrzów Glasgowa, Yorku, Liverpoolu, Bradfordu i innych miejscowości zapytanie: czy posiada środki do wspierania rodzin polskich, nie mają one bowiem prawa do wsparć z miejskich i parafialnych funduszów dla ubogich. Towarzystwo żadnych na zapobieżenie tej nędzy nie posiada zasobów, z trudem niosąc zaledwie skromną pomoc dawniej osiadłym współziomkom, obarczonym latami lub dotkniętym chorobą.

W Paryżu, jak się dowiadujemy ze sprawozdania o zakładach naukowych, wydanego niedawno, istnieją trzy polskie uczelnie, a mianowicie: szkoła batinjolska, licząca 45 lat istnienia, pod kierunkiem St. Malinowskiego; szkoła panien w hotelu Lambert, utrzymywana przez hr. Działyńską, zostająca pod kierunkiem Bocquilona i wreszcie szkoła sierot przy zakładzie św. Kazimierza w Juviny.

W miasteczku Chiavari, we Włoszech, ubogi szlifierz, z pochodzenia Polak, Malicki, założył w domku nad morzem warsztat i restauracyą ludową. Morze, oddawna podmywające brzegi, wtargnęło do dzielnicy na dole położonej i zabrało 11 kamienic, między temi i siedzibę Malickiego. Nieszczęśliwy uciekł z życiem, straciwszy cały dobytek. W tem położeniu znajduje się kilkadziesiąt rodzin.

Ładne stosunki. Pod tym tytułem Dziennik dla wszystkich podaje wiadomość o pewnym ojcu i synku godnych jeden drugiego, jak pałac Paca i Pac pałaca. Jest ona prawdopodobną bardzo, jeżeli zważymy na łatwość z jaką łby najgłupsze przyswajają sobie naukowe teorye w znaczeniu zupełnie fałszywem, dogadzającem jednak ich interesowi. Powtarzamy ją tutaj jak była ogłoszoną, bez żadnej zmiany.

W pewnej okolicy, powiada Dziennik, nad jedną z większych rzek spławnych, po jednej stronie onej mieszka w swym majątku pan X. wdowiec, po drugiej syn jego kawaler, wyposażony już przez ojca.

Zdarzyło się, iż ojciec mając interes do miasta gubernialnego, przyjechał pod wieczór do jedynaka, z zamiarem, aby nazajutrz po przenocowaniu się wyruszyć w dalszą drogę. Przewiózł się więc przez rzekę własnym wygodnym powozem, zaprzężonym czterema końmi.

Po kolacyi ojciec lubiący namiętnie karty, zaproponował partyjkę pikiety, na co synek również miłośnik szybkiej rozgrywki przystał z ochotą.

Gra jednak nie szła jakoś, jedynaczek więc zaproponował z kolei sztosika, w którym ojciec przegrał wkrótce całą gotówkę jaką miał przy sobie. Syn na kredyt grać nie chciał, ojciec więc postawił na karty powóz i konie któremi przyjechał, a te również przeszły na własność szczęśliwego partnera.

Gdy następnego dnia stary zamiast do miasta potrzebował wracać do domu po pieniądze i chciał wziąć powóz z końmi, synalek przekonany, że wypadłoby mu się z tak łatwym nabytkiem pożegnać, przeprosił ojczulka, iż tego zrobić nie może i... odesłał go własną fornalką i bryczką.

Miłe stosunki rodzinne!

Kopalnia węgla kamiennego w pobliżu Poznania już na przyszłą wiosnę będzie dostarczała taniego opału (1 i pół centnara brunatnego węgla kosztuje 30 — 35 fenigów) i ożywi handel i przemysł w m. Poznaniu. Kopalnię tego węgla zakładają na własny rachunek pp. Herzfeld, Stranz i Silberstein na całem terytoryum na północ od Główny ku Kobylopolu, Żegrze i Starołęce, aż do Dębiny pod Żabikowem. Terrytoryum to ma obszaru 1,500 hektarów czyli blizko 7,000 morgów i pod jego powierzchnią znajduje się, wedle opinii górników rządowych, tyle brunatnego węgla, iż wydobywając rocznie milion hektolitrów (hektolitr jest tyle co 1 i pół centnara), starczy na 750 lat.

Roboty nad wykopaniem szychtu już się rozpoczęły pod kierunkiem inspektora górniczego i szycht będzie ukończony najdalej za 4 miesiące. Odnośni przedsiębiercy otrzymali już pozwolenie władz na urządzenie kopalni węgla.

Zwiększenie plonu ziemniaków. Dla otrzymania znacznie większego plonu ziemniaków, niektórzy ogrodnicy radzą ucinać wszystkie łodygi, gdy te

wyrosną na 4 do 5 cali nad ziemię, zostawiając na każdym krzaku tylko dwie środkowe, a zarazem najsilniejsze.

Fakt ten łatwo każdy sprawdzić może.

Stan umysłowy sułtana przypomina wielce stan, w jakim znajdował się król bawarski. Korespondent konstantynopolitański berlińskiej „National Ztng" donosi, że duszą całej obecnej polityki Porty jest sam sułtan. Podobnie jak Ludwik II-gi, Abdul-Hamid noc na dzień przemienia i najwyższych dygnitarzy swoich każe w nocy wyciągać z łóżka, aby im powierzać ważne misye. Posiada on również kosztowne skłonności do wznoszenia zbytkownych budowli i urządzania czarodziejskich ogrodów. Obdarza faworytów swoich z równą jak król Ludwik rozrzutnością i równie szybko, jak zmarły monarcha bawarski, ich zmienia. Nadto cierpi Abdul-Hamid na manię prześladowczą i każdego, którego posądza o mordercze względem swojej osoby zamiary, każe rozstrzelać.

W około pałacu sułtana skoncentrowanych jest zawsze 18,000 żołnierzy.

Zajmujące szczegóły o pszczołach, zaczerpnięte z książki docenta R. Cheshire, p. t. „Pszczoły i ich hodowla", zamieszcza angielski „Saturday Review". Mózg pszczoły jest w stosunku do całego jej ciała większy, aniżeli u innych owadów. Gdy u chrabąszcza np. stosunek wynosi $^1/_{3500}$, u pszczoły roboczej stanowi tylko $^1/_{174}$.

Pszczoły robocze posiadają większy mózg niż królowa, która i pod innemi względami jest od nich niższą; oczy jej są węższe, macki mniej czułe, nóżki mniej doskonałe, gdyż nie są zaopatrzone ani koszyczkiem, ani szczoteczką do zbierania pyłu z kwiatów. Skrzydła ma mniej rozwinięte, a żądło staje się często, skutkiem stłuszczenia i zaniku jadu, bezpożytecznem; system trawienia jest mniej udoskonalony, a organy gruczołowate stosunkowo niedostatecznie rozwinięte. Królowa może znieść do półtora miliona jaj; nie jest to zbyt wiele w stosunku do niektórych innych owadów. Niezwykle płodną pod tym względem jest mszyca: Réaumur obliczył, iż drobny ten owad w ciągu 4 do 6 tygodni swego istnienia może znieść 4,904,900,000 jaj, a Tougard i Morrer twierdzą, że jedna mszyca może wydać kwintylion jaj.

Przypuściwszy, że wszystkie te jajka rozwinęłyby się, to według Huxleya, dziesiąta generacya ogółem posiadałaby wagę równą 500 milionom ludzi, t. j. więcej, niż wynosi ludność Chin. Mylnem jest przekonanie, że pszczoła musi nieodwołalnie umrzeć po ukłuciu. Gdyby jej pozostawiono dosyć czasu, wyjęłaby żądło, obracając się dokoła rany i nadając żądłu ruch spiralny, dopóki go nie wydobędzie. Zazwyczaj jednak nie zdąży tego uczynić i wówczas traci nietylko żądło i pęcherzyk z jadem, ale i część kiszki i umiera w przeciągu jednej lub dwóch godzin. Królowa ma żądło nadzwyczaj ostre i tak twarde, że może je zgiąć bez szwanku na najostrzejszej brzytwie, nigdy zaś nie ukąsi ludzkiej ręki. Żadna pszczoła nie wypuści żądła, zanim nie zbada powierzchni, w którą chce ukłuć; w tym celu posługuje się bardzo czułemi mackami, jakie posiada przy pyszczku.

W Bostonie, jak donosi „New-York Herald", do straży ogniowej należą i kobiety. Obowiązkiem ich jest alarmowanie, z czego się wybornie wywiązują. Wiele z nich wozi wodę i utensylia. Przy ostatnim pożarze plebanii przy kościele polskim odznaczyła się żona yankesa Krygera, z rodziców tutejszych, którzy w roku 1848-ym kraj opuścili. Nazwisko jej rodzinne nie jest podane.

Kwiat trójkolorowy. W Ameryce odkryto ostatniemi czasy oryginalny kwiat, zmieniający barwę trzy razy na dzień. Roślinny ten kameleon jest biały z rana, w południe rumieni się w purpurowy, a wieczorem staje się błękitny; tylko w środku dnia kwiat ten wydaje bardzo delikatny zapach. Drzewo, na którem rośnie jest mniej więcej tych samych rozmiarów co guawa.

Z dziedziny humorystycznej.

Dotąd mówiono, co głowa to rozum, a teraz zaczniemy mówić, co figiel to reklama, aby handel szedł i talary przynosił w zysku.

Merlatti jest malarzem, ale pędzel mało mu przynosił zysku, został więc głodomorem, aby powszechną zwrócić na siebie uwagę i przez dni 50 pilnie strzeżony, pijąc jedynie wodę, obchodził się zupełnie bez jadła. Litościwe Paryżanki lękając się o zdrowie młodego szaleńca, przesłały list do ojca Merlattiego z prośbą, aby wzbronił synowi dalszej głodowej męczarni. Ojciec na to odpowiedział:

„Mój syn waryat, nie jest niemowlęciem a ja nie jego mamką, zmuszającą niesfornych chłopców do jedzenia.

„Jeżeli malarstwo tak mało mu daje dochodu, że aż musi się uciekać do takich awantur, to nie żałuję ani jednego szturchańca jakich mu niegdyś wcale nie szczędziłem, a żałuję serdecznie, że w udzielaniu ich nie byłem szczodrzejszy."

Wstawienie więc Paryżanek było daremne, Merlatti pościł dalej i doszedł do dni pół setki, jedynie dla... reklamy. Ciekawych bowiem oglądać głodomora, było mnóstwo a wpuszczano ich tylko za biletami płatnemi dość słono.

Za Merlattim poszedł Succi w Londynie a obecnie rozpoczął praktykę głodową Francuz Jacques, utrzymujący, iż przy studyach nad botaniką, udało mu się odkryć cudowny płyn, którego używający, może się wstrzymać przez dłuższy czas od przyjmowania pokarmu bez utraty sił fizycznych i moralnych, a jedynie ze stratą wagi całego ciała.

Po odbyciu już rozpoczętej próby, tajemnicę wyrabiania owego płynu puści na licytacyą, kto da więcej!

Z głodu umierać, straszny los! z głodu żyć najnowsza spekulacya, któżby to umiał dawniej coś podobnego wykoncypować.

Ale głodomorzy już się zaczynają przyjadać, w Chicago zatem odbywają się próby wręcz przeciwne tym, któremi zajmują się Succi i Merlatti. Joë Hawkins, młody dwudziesto-czteroletni murzyn, przez dziewięćdziesiąt dni zobowiązuje się pochłonąć po cztery obiady dziennie, wymawiając sobie prawo wyboru pokarmów.

Pierwszy posiłek spożywa między siódmą i ósmą z rana i w dwadzieścia minut po obudzeniu się, Joë pije kawę z grzankami, zjada parę funtów szynki i salaterkę kompotu z pomarańcz. O pierwszej każe sobie podawać pięć funtów pieczeni wołowej z kartoflami i kapustą, przyczem wypija cztery butelki piwa. Około szóstej pije herbatę, zjada sześć śledzi z ciastkami kremowemi i wszystko to zapija kilku butelkami piwa. Wreszcie o dziewiątej je kolacyą, złożoną z ryby, homara, kiełbasy, kartofli, pół łopatki cielęciny i funt sera. Przez cały wieczór popija piwo, wódkę i pali bardzo mocne cygara. Od dwóch miesięcy jest to zwykły jego tryb życia. Pomiędzy posiłkami, Hawkins używa ciągłego ruchu, oprócz długich przechadzek oddaje się gimnastyce i rozmaitym ćwiczeniom cielesnym.

Raz tylko jeden spostrzeżono w nim pewne jakby zniechęcenie do jadła i napoju, lecz murzyn upewnił swojego dozorcę, że pochodzi ono z denerwującego oczekiwania schadzki umówionej. Przekonano się, że rzeczywiście przyczyna ta istniała. Wogóle Hawkins poszukuje wyłącznie towarzystwa kobiet, u których zyskał powodzenie od czasu jak o nim piszą dzienniki. Po skończonych w Chicago doświadczeniach, Joë zamierza ponowić je w Paryżu i publicznie przechwalać się swojem obżarstwem.

Że będzie mieć powodzenie, wątpić nienależy. Ciekawość to najczulsza struna ludzkiego organizmu, kto umie w nią brzęknąć, krocie garścią gromadzi.

Mierzwiński rozgłos swój winien najwięcej nie ślicznemu głosowi jaki posiada, nie umiejętności używania go, ani wreszcie artyzmowi i uczuciu z jakiem odśpiewuje każdą swoją rolę, ale... wysokiemu *C*, które wyrzuca z piersi z czystością i mocą rzadko słyszaną. Instrument więc stanął tu górą po nad wszystkiem, a nie Mierzwiński jako artysta. O wysokości *C* wszyscy prawią, rozgadują, chwalą, podziwiają, zachwycają się, jakby w tonie tym spoczywał urok syreni, prowadzący w dziedzinę rajskiej rozkoszy. Tymczasem sam ten ton jako głos jest niczem. Z każdej altówki lub wiolonczeli wydobyć go można, ale przez niego obudzoną została ciekawość, jak to też wygląda człowiek co umie wysokiem *C* współzawodniczyć z instrumentem i dzięki jej Mierzwiński stał się sławnym i popularnym.

Znając tę potęgę ciekawości, obecnie po bulwarach paryzkich przeciągają od pewnego czasu szeregi młodych panien, spacerujących, jak pensyonarki, parami. Wszystkie ubrane są jednakowo, noszą bardzo eleganckie podług ostatniej mody zrobione kostyumy koloru hawanna, ubrane materyą *bordeaux* i dziwaczne z tego materyału suknie, a kapelusze z wysokiemi po obu stronach oślemi uszami. Twarze zakryte są gęstemi, czerwonemi woalkami, tak, że rysów rozróżnić niepodobna, na tyle sukien zaś jaskrawemi kolorami wyhaftowane jest nazwisko pomysłowego fabrykanta. Oryginalny to wprawdzie, nieużywany dotąd sposób reklamowania, ale bynajmniej nie tani. Ubrać taki szereg panien w eleganckie kostyumy, to nie bagatela.

Zapewne, że to reklama bardzo kosztowna, ale więcej oryginalną, ułożył dyrektor teatru w Norwich w Stanach Zjednoczonej Ameryki.

Przedsiębiorca ów widząc, że na przedstawieniach jego towarzystwa przerażające panują pustki, pod obawą bankructwa padł na pomysł chwycenia publiczności na wędkę ciekawości i w tym celu zrobił następujące ogłoszenie:

Szanowna publiczności! Panna Adams pierwsza kochanka mego towarzystwa i p. Delmar liryczny jego bohater, jutro wieczorem mają się połączyć ślubem małżeńskiego związku i natychmiast wyjechać do New-Yorku, gdzie zostali zaangażowani. Zagrożony stratą najdzielniejszej podpory mego towarzystwa, zaledwie uprosiłem ich, że wyjazd swój wstrzymali, a że chwila ślubu przypadająca wieczorem, żadnym sposobem zmienioną już być nie może, wybaczy przeto szanowna publiczność, że akt ten religijny odbędzie się na scenie, a potem zaraz rozpocznie się widowisko, w którem nowo zaślubieni główne przedstawią rolę.

Reklama wybornie się udała, bilety wszystkie rozkupiono, płacąc za nie często potrójne ceny, ślub odbył się z całą uroczystością religijnej powagi, państwa młodych bezustanku oklaskiwano i potem przez cały

miesiąc teatr był zawsze pełny... ciekawych, ściąganych nietylko już z miasta, ale i z prowincyi.

* * *

Polityka przejadła się nawet Francuzom. Niedawno w pewnym salonie, w Paryżu, rozmowa weszła na tor osnowy nietuzinkowej.

— Ah! — odzywa się jedna z pań — przestańmy już raz mówić o rzeczach pełnych usypiającej powagi.

— Bardzo ochętnie — odpowiada ktoś z towarzystwa — mówmy zatem o polityce.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wizytowe. Spódnica z aksamitu w pasy z deseniem kolorowym; długa draperya z gładkiego aksamitu bogato przybrana piękną koronką. Stanik z krótką baskiną, przybrany koronką ma deseniową kamizelkę.

Ubranie spacerowe dla młodej panienki. Suknia wełniana ma podpinaną spódnicę i krótki stanik z aksamitnym paskiem, kołnierzem i przybraniem rękaków.

Płaszczyk spacerowy. Uszyty z pluszu brązowego, z fałdą a la Watteau, z kołnierzem i obłożeniem z piór przy szerokich rękawach.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Król Krak i Królowa Wanda. Opowiadanie przedhistoryczne, dla młodzieży, przez autora **Bitwy pod Raszynem**, z 8 obrazkami, rysunku Jankowskiego. Nakład Gebethnera i Wolfa.

Bajeczki prawdziwe, opowiedziane dziatwie, podług Zuzanny Kornaz, przełożnej ogródka dziecinnego w Genewie, przez M. J. Zalewską, z 6 obrazkami rysunku Illinicza. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Podarunek dla młodzieży. Książka do czytania dla tych co nie chcą być ciemnymi, ułożył Wiktor Olszewski. Z obrazkami. Skład główny w księgarni Krajowej Konrada Prószyńskiego. Cena 25 kop., w oprawie 30 kop.

Stara Baśń, opowiadanie z dawnych czasów z powieści J. I. Kraszewskiego, przerobiła F. M. Cena kop. 10.

Płoczczanin, Kalendarz na rok 1887, wydany staraniem Maryana Kozarskiego. Nakładem Bukiego księgarza w Płocku. Skład u nakładcy oraz w księgarni Centnerszwera w Warszawie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Kraśniewskiemu przez Kotuń. Omylić się nietrudno, więc i w adresie może być błąd popełniony, ale zwykle staje się to nie z winy Redakcyi. Przysyłane bowiem adresy są nieraz, szczególniej w nazwiskach, tak niewyraźnie pisane, że trzeba się tylko domyślać litera po literze, jakiemi są właściwie. W takim razie o błąd bardzo łatwo, bo domysł być może mylny o co winić Redakcyi nie można.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIESCI

w przyszłym roku 1887, pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Z większych prac pomieszczoną w nim zostanie powieść Jana Zacharyasiewicza z czasów Stanisława Augusta, nowella Klemensa Junoszy i historyczne opowiadanie p. t.

KRWAWY DYABEŁ

Cena prenumeraty pozostaje ta sama i wynosi:

W Warszawie Kwartalnie rs. **1** kop. **80**.

Na prowincyi z przesyłką pocztową.

Kwartalnie. . . . . rs. **2** kop. **50**.
Półrocznie. . . . . rs. **5**.
Rocznie. . . . . . rs. **10**.

PRZYJACIEL DZIECI

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

w roku przyszłym 1887, także pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Zaraz w pierwszym numerze przyszłorocznym rozpocznie się druk powieści jednotomowej, p. t. Z SIEROCEJ DOLI, następnie przygotowanej przez Teresę Jadwigę, a w dodatku pomieszczone będzie OPOWIADANIE O KOGUCIE ZAWADYAKU.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama i wynosi:

W Warszawie Kwartalnie rs. **1**.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

Kwartalnie. . . . . rs. **1** kop. **25**.
Półrocznie. . . . . rs. **2** kop. **50**.
Rocznie. . . . . . rs. **5**.

Prosimy o wczesne nadsyłanie zapisów, co najlepiej uskuteczniać za pośrednictwem Redakcyi.

ADRES: Do J. K. Gregorowicza, Redaktora „Tygodnika Mód i Powieści” oraz „Przyjaciela Dzieci”, w Warszawie — Chmielna Nr **26**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Декабря 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz**. Wydawca **E. Skiwski**. Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.